

# Kronika tygodniowa.

W ubiegłym tygodniu, już przy samym końcu kroniki, wybierałem się do Warszawy na elekcję króla polskiego, jeśli zaś nie pojechałem, to nie moja wina, ale okoliczności, które tak się złożyły, że zaczęto się zajmować czemś ważniejszym, a sprawa obśady tronu polskiego odłożona została *ad calendas graecas*, to jest aż do czasu, gdy znów nabieże aktualności. Stanie się to zaś wtedy, gdy wielcy politycy centralni przekonają się, że im Polaków na coś potrzeba.

Nam tymczasem wolno żyć nadzieją, że przecież doczekamy się kiedyś spełnienia naszych najserdeczniejszych życzeń, ale kiedy się to stanie, to już zależy od zbiegu okoliczności, czyli od najrozmaitszych politycznych koniunktur i względów, których zwykły śmiertelnik nie byłby nawet zrozumieć w stanie i dlatego też prawdopodobnie nikt mu ich nie tłumaczy. Powiada mu się tylko: „Służ wiernie i siedź cicho!.. My już o tobie nie zapomnimy... Dostaniesz coś...”

Ala kiedy się tego możemy spodziewać i jak owo „coś” ma wyglądać, tego dotąd nikt nie wie, nawet ci, którzy się kręcą koło wielkiego ołtarza politycznego i udają, że wszystko wiedzą. Czynią więc zupełnie przeciwnie, niż ów starożytny filozof, który tem się właśnie chlubił, że nic nie wie, a przecież wiedział dużo. Ale też oni nie są bynajmniej filozofami, sprawa ogółu zupełnie im nie leży na sercu, ale każdy radby tylko sam dla siebie coś uszczknąć.

To się nazywa „polityka realna” gdyż może nam w przyszłości przynieść wiele korzyści. Tak nas przynajmniej ciągle zapewniają nasi wielcy ludzie, a my im wierzymy, albowiem „błogosławieni są ci, którzy wierzą”.

Swojego czasu obiecano Albanii, że Europa zajmie się jej losem, ale kazaano czekać. I w samej rzeczy doczekała się swojego *mbreia* w osobie księcia Wieda, który tylko dlatego dłużej nie siedział na albańskim tronie, iż mu tam było niewygodnie, a albańskie powietrze mu nie służyło. Ale w każdym razie doczekali się Albańczycy tego, co im łaskawie obiecano, a o to się właśnie rozchodzą.

W owym czasie była Albania na porządku dziennym i na ustach całego politycznego świata, dziś przyszła kolej na Polskę, mającą być tym językiem n wagi, który się przechyli na tę lub ową stronę.

Cierpliwość jest bardzo piękną cnotą i prawdopodobnie dlatego tak nas w niej ćwiczą nasi opiekunowie, pragnący tylko, jak sami mówią, naszego dobra, dla siebie samych zaś nic, prócz „wdzięczności”, nie mówiąc jednak, jak ona ma wyglądać i jaką mieć wartość w obliczeniu na marki lub korony.

Musiśmy się jednak nzbroid w cierpliwość, tego wymaga racja stanu i nasze własne dobro, o którym tylko myśłają nasi przyjaciele. Pokazało się zaś, że tych przyjaciół mamy teraz nawet więcej, niż się spodziewaliśmy, a są między nimi nawet i tacy, którzy się do znajomości z nami przyznać nie chcieli, utrzymując, że jesteśmy *eine minderwertige Nation*, z którą się nikt liczyć nie powinien. Ale zbieg okoliczności pokazał widocznie, że tak nie jest i prawdopodobnie dlatego zmienili swe zdanie. Oby się tylko nie ziściło na nas stare przysłowie o tym zając, którego zjadły psy wśród serdecznych przyjaciół.

Każą nam czekać, czekamy więc cierpliwie, aż w samej rzeczy wejdziemy znów na dzienny porządek światowy. Czekaj więc i kronikarz, by się wybrać na elekcję, a przez imaginację może nawet i na koronację, a tymczasem ciesz się, jak to mówią smakami owej elekcyjnej kiełbasy, na której zakończył poprzednią kronikę.

To tylko kwestya, a raczej pytanie, na które trudno dać odpowiedź, czy nas też przypadkowo nie zapomną zaprosić na ową elekcję, bo to dzisiaj na świecie panują już takie obyczaje, że wszelkie rachunki załatwia się bez gospodarza, to znaczy, że interesowanego nie pyta się nigdy o zdanie.

Tak się stało swojego czasu z Albanią, to samo powtarza się teraz z Polską. Obiecano wprawdzie, że ją otrzymamy, ale na razie nikt nie może powiedzieć, jaką i kiedy. Co do czasu jej reaktywowania, to ostatecznie możemy jeszcze nieco poczekać, skoro dotąd czekaliśmy tak cierpliwie, smutniej przecież przedstawia się kwestya, jak też ona będzie wyglądać, bo różne jej dawne części składowe zbyt są potrzebne sąsiadom, by się ich tak łatwo mieli wyrzec, zwłaszcza, że w zamian nie żądają nic więcej, prócz wdzięczności.

Na razie cieszymy się obietnicą, jaką nam łaskawie uczynić raczyły mocarstwa centralne, ale nie trzeba zapominać i o tem, że Polskę obiecuje przywrócić do

życia i koalicja i to w granicach jej historycznych, nie okrojonych żadnymi względami politycznymi.

To tylko bieda, że obie strony obecną kołuch, gdy tymczasem skóra jeszcze na baranie, ten baran jeszcze żyje, a nam głównie interesowanym, ciągle zimno.

Kto pierwszy, ten lepszy — mówi przysłowie.

Pierwsze odezwały się mocarstwa centralne, a my ich oświadczenia przyjęliśmy za dobrą monetę i żyjemy nadzieją, że koniec naszej niedoli już bliski. Mamy mieć Polskę z ich łaski, musimy się więc zadowolnić tem, co nam dają, boć przecież mogliśmy byli i nic nie dostać, a musielibyśmy i tak siedzieć cicho. Aby nasza Ojczyzna miała sięgać „od morza do morza”, to sobie musimy wybić z głowy, gdyż na to nie pozwalają względy wyższej natry. Lepszy rydz, niż nic — tak nam mówią i to tak przekonująco, że nasi zastępcy, o ile mają czas zajmować się sprawami, obchodzącymi ogół, są tego samego zdania, radzą cierpliwość i spokojne oczekiwanie.

Jak zaś wyglądają obecne nowotwory polityczne, najlepszy dowód mamy na Ukrainie, powołanej do życia również z woli i łaski mocarstw centralnych, którym do ich celów konieczne jej było potrzeba. Ale Ukraina ma lepszych i wytrawniejszych polityków, niż my, więc też, poczuwszy się raz na własnych nogach, choć się one jeszcze nieco chwieją, nie czeka na to, co jej kapnie z łaski, ale stawia swoje własne żądania i stara się je nawet nmotywować. Jednym z nich ma być utworzenie portu ukraińskiego w... Gdańku. Mówię „ma być”, gdyż nawet nie przypuszczam, by znalazł się bodaj jeden, choćby nawet najbardziej zapalony Ukraińiec, któryby aż tak daleko chciał posunąć granice swojego kraju. Gdyby tak być miało, to z równą śnśnością mogłaby sobie Ukraina rościć pretensje naprzykład do wyspy Sumatry, zwłaszcza, że jej nazwa przypomina pewne ruskie wyrażenia.

Gdyby nasi politycy potrafili i chcieli tak energicznie zabiegać o nasze interesy, mielibyśmy dotąd Polskę, sięgającą w samej rzeczy „od morza do morza”, mielibyśmy i króla, a tak mamy tylko nadzieję, że się to wszystko kiedyś spełni, o ile naturalnie nie zajdzie coś, co każe zmienić dawne plany. A jeśli gdzie, to właśnie w polityce taka *vis major* wchodzi bardzo często w grę, a przychodzi zwykle niespodzianie, niczem ów *deus ex machina*. Nawet, jeśli zajdzie potrzeba, choć jej niema, na nią zwała się całą winę i ją się powołuje na wytłumaczenie.

Dajmy jednak na to, że w samej rzeczy polityczne względy pozwolą na zrealizowanie danych nam obietnic, że Polska zacznie istnieć w rzeczywistości, a nie na papierze tylko, że będzie mieć granice, jakie się jej słusznie należą. Czy wówczas nie byłoby wskazaniem, byśmy się sami oświadczyli, kto ma nami rządzić. Taki wybór byłby daleko odpowiedniejszym, niż nominacja, odpowiadająca może bardziej wyższemu względowi, ale mogąca bardzo łatwo paść na jednostkę, do tego się nieznajdnie nadająca.

Wspomniałem na początku o elekcji, wprawdzie w żarcie tylko, ale obecnie widzę, że ośa jest w samej rzeczy konieczną, choć może nie w tych rozmiarach, jak dawniej, przed laty. I to tylko raz, na samym początku, a nie, broń Boże, jak to dawniej bywało, przy każdym wakansie. Skoro zaś mają być wybory, musi być i kiełbasa wyborcza, w tym wypadku wlepszemu gatunkowi, więc „elekcyjna”.

I znów pytanie, kto ma ponosić wydatki z jej przygotowaniem połączone. Mnie się zdaje, że ci, którzy się ofiarowali z gotowością przywrócenia nam naszych dawnych praw.

Ala znów z tem bieda, że w takim razie jakości owej kiełbasy, której dostarczenie powierzy się jakiemuś dostawcy wojennemu, pozostawi wiele do życzenia i łatwo nas może narazić na niestrawność, w tym wypadku politycznej natury, do której chyba mielibyśmy już i czas i sposobność się przyzwyczaić.

„Niech żywi nie tracą nadziei...” powiedział poeta, a za nim powtarzam i ja to samo, spodziewając się, że się ziści bodaj część danych nam obietnic. Niechajby bodaj część, boć w szafowaniu niemi przyjaciele nasi i bliźsi i dalsi nie mają miary. Gdyby się one w samej rzeczy wszystkie spełnić miały, byłibyśmy narodem najszcześliwszym na świecie, a wówczas nie my z nimi, ale cały świat musiałby się liczyć z nami. Niestety, zbyt dobrze znana jest nasza łatwowierność, która jest naszym nieszczęściem. Gdyby nie ona, nie mielibyśmy dziś tyle rządów, rzekomo polskich, pracujących tak w Europie, jak i w Ameryce, rzekomo dla dobra narodu, w samej zaś rzeczy dla obcych interesów, w zamian za obietnice... złotych gruszek na wierzbie. Jednych gnała idea, drugich obowiązki i stało się, że brat godził w pierś brata, a wynik zawiódł wszelkie, najskromniejsze nawet nadzieje.

W polityce, jak się to już nieraz mówiło, nie się przewidzieć nie da, nie można też już teraz mówić, co będzie za rok, czy choćby nawet za miesiąc, skoro

każdy dzień może nam przynieść niespodziankę. Jak dziś rzeczy stoją, wie każdy, o tyle przynajmniej, o ile to potrafi zrozumieć z jałowych urzędowych komunikatów i luźnych półsłówek, otwierających pole dla domysłów, ale co będzie jutro, tego nikt nie wie, nawet — niech się na mnie nie obrazi przypadkiem „prokurator magistracki”, że się tak wyrażę — i on, bo i on tylko ludzkiem oczyma patrzy na sytuację, a ona z dnia na dzień staje się coraz ciemniejszą i mniej zrozumiałą, zwłaszcza wobec ostatnich wydarzeń na zachodnim froncie, na południu i w Rosji. Zaczyna się na świecie warzyć coś, co ogromnie przypomina bigos, który w języku kucharskim nazywa się „tajemnicą w kapuście”.

Coś podobnego dzieje się obecnie i w polityce, a najlepszy jej znawca zachodziłby próżno w głowę, by wyciągnąć z tego jakieś konsekwencje i wnioski na przyszłość. Ergo i o spełnieniu się naszych żądań nie mówić nie możemy, wolno nam tylko myśleć, gdyż wedle zasady realnego polityka tylko *die Gedanken sind zollfrei* i to o ile się myśli po cichu. Głośno myśleć nie jest bynajmniej wskazanem, zwłaszcza w tych czasach, gdy się wmawia w ogół, że się wogóle myśleć nie powinno, skoro są inni, którzy myślą za siebie i za nas.

Niechaj jednak nikt przypadkiem nie myśli, że z kronikarza stał się nagle jakiś wielki mąż stanu i polityk pierwszej wody. Broń Boże!.. Jest on zawsze tem, czem był dawniej, jeśli zaś poruszył te sprawy, to tylko dlatego, że ciągle o tem i słyszy i czyta, a rezultat z tego taki, iż nie może znaleźć punktu wyjścia. W takim zaś samem położeniu mnszą się znajdować i inni śmiertelnicy, nie też dziwnego, że chce się z nimi podzielić swemi zapatrywaniem, a może się przecież znajdzie ktoś taki, kto mn potrafi rozjaśnić to prawdziwie błędne koło, w jakim się polityka, zwłaszcza w sprawach polskich, stale dotąd obracała i obraca.

Choćby zresztą okoliczności tak się złożyły, że dzięki „wyższemu względowi, nie dającym się usunąć”, mielibyśmy i tym razem wyjść.. z kwitkiem, niechaj nas to pociesza, że przecież pozostaną nam następstwa obecnej wojny, choćby tylko pod postacią hiszpańskiej choroby i jakiegos tam nowomodnego ropnego zapalenia pinc, w dwn dniach zwalającego z nóg najsilniejszy organizm i zmuszającego człowieka do „ewakuowania się” ...na Rakowice.

O zniszczeniu kraju i to pod każdym względem, nie mówię, bo wiedzą o tem już wszyscy. Do dobroczynnych następstw wojny mógłbym zaliczyć także i tego rodzaju wykwyty prawdziwie wojenne, jak dostawcy wojenni, paskarze itd., ale nacieszcie się nimi mamy dość czasu, a mnie właśnie brak miejsc na wylanie potoków mej radości.

Według komunikatów, nadsyłanych drogą urzędową z terenu walki, głównie zaś z frontu zachodniego, na koniec wojny w tym roku bynajmniej się nie zanosi. Koalicja rozpoczęła tam gwałtowną ofensywę i to ze skutkiem dla siebie, wobec czego Niemcy zaczęli coraz bardziej „skracać swój front”.

W tych warunkach o zawarciu pokoju ani mowy być nie może. Po zamianie ról przedstawicieli ententy stawaliiby takie warunki, na które Niemcy nie mogliby się zgodzić. Jak dziś rzeczy stoją, zanosi się na to, iż wojna będzie się dalej toczyć z coraz to większą zaciętością aż do chwili, w której jedna strona położy drugą na obie łopatki.

Ala która z nich będzie tą „jedną”, a która „drugą”, tego powiedzieć nie możemy, łatwo też stać się może, że obie dadzą sobie gruntowną radę i wyjdą z tej imprezy tak, jak owe myszy Radziwiłłowskie, które się wzajemnie pożarły, zostawiając na polu walki tylko niedogryzione ogony.

To była moja odpowiedź, choć nie jestem prokiem, z przed lat trzech czy czterech.

Pantoflowa poczta donosi, że owo „skrócenie nie mieckiego trontu” jest tylko pewnego rodzaju przyczajaniem się i przygotowaniem do nowego skoku, wobec czego znów mocarstwa centralne rozpoczęłyby ofensywę, a cała historia przeciągałaby się *ad infinitum* w myśl zdania „w koło Macieju!...”

Zresztą, jak będzie, przekonaj się, kto cierpliwy. „Kronika niniejsza od samego początku do samego końca utrzymana została w tonie wybitnie politycznym by zadość uczynić żądaniom tych, którym jest mało tej politycznej strawy, jaką przynoszą stałe pisma codzienne.

We wnioski na przyszłość i przypuszczenia, co być może, jeżeli nie zajdzie coś zupełnie innego, kronikarz się nie bawi, by się potem nie narazić na zarzut, że się jego przewidywania nie ziściły, łatwiej zresztą i wygodniej omawiać to co się już stało, niż to, co dopiero być może i to, Bóg raczy wiedzieć, kiedy.